

MISTRZOWIE OPOWIEŚCI święta, święta...

Od Hansa Christiana Andersena
do Angeli Carter



 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

ANTONI CZECHOW

MALCY

Z rosyjskiego przełożył A.W.



- Włodek przyjechał! – krzyknął ktoś na dworze.
 - Włodzio przyjechał! – pisnęła Natalia, wbiegając do jadalni.
 - Ach, mój Boże!
- Cała rodzina Korolewów, która z godziny na godzinę wyczekiwała swego Włodzia, rzuciła się do okien.
- Przed gankiem stały szerokie sanie, trójka białych koni buchała kłębami pary. Sanie były puste, gdyż Włodzio stał już w sieni i czerwonymi od mrozu palcami rozwiązywał baszłyk. Jego gimnazjalne palto, czapka, kalosze i włosy na skroniach pokryte były szronem, a cała postać od stóp do głów wydawała taki smaczny, mroźny zapach, że gdy się nań patrzyło, chciało się przemarznąć i zawołać: „Brrr!”. Matka i ciotka rzuciły się na niego i poczęły go ścisnąć i całować. Natalia upadła mu do nóg i ściągała z nich walonki, siostry jęły świergotać, drzwi skrzypiały, a ojciec Włodka wpadł do przedpokoju tylko w kamizelce i z nożycami w ręku i krzyknął wystraszonym głosem:

– A myśmy cię jeszcze wczoraj oczekiwali! Czyś dobrze dojechał? Szczęśliwie? Ach, mój Boże, dajcież mu się z ojcem przywitać! Czyż nie jestem ojcem?

Hau! hau! – ryczał basem Milord, ogromne, tłuste psisko, uderzając ogonem o ściany i meble.

Wszystko zlało się w jeden radosny gwar, który trwał dwie minuty. Kiedy pierwszy wybuch radości przeszedł, Korolewowie spostrzegli, że prócz Włodka znajduje się w przedpokoju jeszcze jeden mały człowiek, otulony w chusty, szale i baszłyki i pokryty szronem; stał on nieruchomo w kącie w cieniu dużego lisiego futra.

– A to kto jest, Włodziu? – spytała szeptem matka.

– Ach! – spostrzegł się Włodzio. – To jest... mam zaszczyt przedstawić, mój kolega Czeczewicyn, uczeń drugiej klasy... Przywiozłem go ze sobą jako gościa.

– Bardzo nam przyjemnie, prosimy serdecznie! – wyrzekł radośnie ojciec. – Przepraszam, że jestem po domowemu, bez surduta... Pozwól pan! Niech Natalia pomoże panu się rozebrać. Ach, mój Boże, zabierzcie stąd tego psa! Kara boska!

Wkrótce potem Włodzio i jego przyjaciel, oszołomieni hałaśliwym przyjęciem i jeszcze różowi od zimna, siedzieli przy stole i pili herbatę. Zimowe słońko, przenikając przez śnieg, co się układał w desenie na szybach, drgało na samowarze i kapało swe czyste promienie w mosiężnej miseczce do płukania szklanek. W pokoju było ciepło i chłopcy czuli, jak w ich przemarzniętych ciałach zmagало się wzajemne ciepło i zimno, nie chcąc sobie wzajem ustępować.

– Oto i Boże Narodzenie za pasem – mówił ojciec, skręcając papierosa z ciemnorudego tytoniu. – A tak niedawno było lato i matka płakała, żegnając się z tobą... Czas szybko leci. Ani się

obejrysz, jak starość przyjdzie. Panie Czybisow, niech pan je, proszę się nie krępować. U nas bez ceremonii.

Trzy siostry Włódzia – Katia, Sonia i Masza, najstarsza z nich miała lat jedenaście – siedziały przy stole i nie spuszczały oczu z nowego znajomego. Czeczewicyn był tego samego wieku i wzrostu co i Włodek, lecz nie taki puciołowaty i biały, ale chudy, śniady i piegowaty. Włosy miał szczeciniaste, oczy – jak szparki, wargi – grube i w ogóle był bardzo brzydki i gdyby nie mundur gimnazjalny, można by, sądząc z powierzchowności, wziąć go za syna kucharki. Był ponury, milczał cały czas i ani razu się nie uśmiechnął. Dziewczynki, patrząc na niego, od razu zmiarkowały, że musi to być bardzo mądry i uczony człowiek. Przez cały czas myślał o czymś i tak był tym zajęty, że gdy go o coś zapytywano, wzdrygał się, potrząsał głową i prosił, by powtórzono pytania.

Dziewczynki spostrzegły, że i Włodek, zwykle wesoły i rozmowny, tym razem mało mówił, wcale się nie uśmiechał i nawet zdawał się niezadowolony, że przyjechał do domu. Podczas herbaty zwrócił się do sióstr tylko jeden raz, i to z jakimiś dziwnymi słowami. Wskazał palcem na samowar i powiedział:

– A w Kalifornii zamiast herbaty piją dżin.

Był również zajęty jakimiś myślami i sądząc ze spojrzeń, jakie od czasu do czasu zamieniał z przyjacielem, myśli ich były wspólne. Po herbacie wszyscy udali się do dziecięcego pokoju. Ojciec z dziewczynkami usiedli przy stole i zajęli się robotą przerwana przez przyjazd chłopców. Robili ozdoby i łańcuchy z kolorowego papieru na choinkę. Było to pociągające i hałaśliwe zajęcie. Każdy nowy wykonany drobiazg dziewczynki witały okrzykami zachwytu, nawet przerażenia, jak gdyby ta rzecz spadła z nieba; ojczulek również się zachwycał i od czasu do czasu ciskał nożyce o podłogę, gniewając się, że są tępe.

Mamusia wpadała do dziecięcego pokoju, zakłopotana, i zapytywała:

– Kto wziął moje nożyczki? To znów ty je wziąłeś, Iwanie Mikołajewiczu.

– Boże drogi, nawet nożyczek nie dadzą! – odpowiadał płaczącym głosem Iwan Mikołajewicz i odchyliwszy się na oparcie krzesła, przybierał pozę człowieka skrzywdzonego, ale po chwili zachwycał się znowu.

Podczas swych poprzednich przyjazdów Włodek również brał udział w przygotowaniach do choinki lub też wybiegał na dwór popatrzeć, jak furman z pastuchem usypują śnieżną górę, lecz teraz ani on, ani Czeczewiczn nie zwracali żadnej uwagi na różnokolorowy papier i nie byli ani razu w stajni, lecz usiedli przy oknie i zaczęli ze sobą coś szeptać, potem otworzyli atlas i oglądali jakąś mapę.

– Z początku do Permu... – mówił cicho Czeczewiczn – stamtąd do Tiumeni... potem Tomsk... potem... potem... do Kamczatki. Stamtąd Samojedzi przewiozą nas łódkami przez Cieśninę Beringa... Oto i Ameryka... Tutaj jest dużo zwierzyny.

– A Kalifornia? – spytał Włodek.

– Kalifornia jest niżej... Trzeba się tylko do Ameryki dostać, to Kalifornia już blisko. Pożywienie zdobywać sobie można polowaniami i grabieżą.

Czeczewiczn stronił cały dzień od dziewczynek i spoglądał na nie spode łba. Po podwieczorku przypadkowo pozostał sam z nimi przez parę minut. Nie wypadało milczeć. Chrząknął więc poważnie, potarł prawą dłonią lewą rękę, spojrział ponuro na Katię i spytał:

– Czy panienka czytała Mayne-Reida?

– Nie, nie czytałam... Czy pan się ślizga?

Pochłonięty swymi myślami Czeczewicyn nic nie odpowiedział na to pytanie, lecz wyduł policzki i westchnął, jakby mu było bardzo gorąco. Jeszcze raz podniósł wzrok na Katię.

– Kiedy stado bizonów pędzi przez pampasy, ziemia drży, a wówczas mustangi wierzgają i rżą z przerażenia.

Uśmiechnął się smutno, po czym dodał:

– Również Indianie napadają na pociągi. Ale najgorsze to moskity i termyty.

– A to co takiego?

– To coś w rodzaju mrówek, tylko skrzydlatych. Bardzo mocno kąsają. Czy pani wie, kto ja jestem?

– Pan Czeczewicyn.

– Nie! Jestem Montigomo Szpon Jastrzębi, wódz niezwykniężonych.

Zupełnie niezrozumiałe słowa Czeczewicyna, jego ciągłe ciche rozmowy z Włodkiem i ta okoliczność, że Włódzio wcale się nie bawi z siostrami, lecz wciąż o czymś rozmyśla – wszystko to wydawało się dziwne i zagadkowe. Toteż obie starsze dziewczynki, Katia i Sonia, zaczęły pilnie śledzić chłopców. Wieczorem, gdy obydwaj kładli się spać, dziewczynki podkrały się pode drzwi i podsłuchały ich rozmowy. Och! Czego się dowiedziały!

Chłopcy chcieli uciec gdzieś do Ameryki poszukiwać złota; mieli już wszystko gotowe: pistolet, dwa noże, suchary, szkło powiększające, by rozniecać nim ogień, kompas i cztery ruble. Dowiedziały się, że będą musieli przejść pieszo kilka tysięcy wiorst, walczyć po drodze z tygrysami i z dzikimi, potem zdobywać złoto i kość słoniową, zabijać wrogów, brać udział w wyprawach korsarskich, pić dzin i w końcu pojąć za żonę jakąś piękność i uprawiać plantacje. Włódek i Czeczewicyn mówili z uniesieniem i przerywali sobie

wzajemnie. Przy tym siebie nazywał Czeczewicyn: „Montigomo, Jastrzębi Szpon”, a Włódzia – „mój bladolicy brat”.

– Tylko nie mów nic mamie – powiedziała Katia Soni, idąc spać. – Włodek przywiezie nam z Ameryki złota i słoniowej kości, a jak powiesz mamie, to go nie puszczą.

W przeddzień Wigilii Czeczewicyn cały dzień studiował mapę Azji i coś zapisywał. Włodek, smętny, jakby go coś ukąsiło, ponuro chodził po pokojach i nic nie jadł. Raz nawet zatrzymał się przed ikoną, przeżegnał się i powiedział:

– Boże, wybacz mnie grzesznemu! Boże, zachowaj moją biedną, nieszczęśliwą mamę!

Przed wieczorem rozplakał się. Idąc spać, długo ścisnął ojca, matkę i siostry, Katia i Sonia wiedziały, co to ma znaczyć, ale najmłodsza, Masza, nic nie rozumiała.

Wczesnym rankiem w dzień wigilijny Katia i Sonia wstały cicho i poszły zobaczyć, jak chłopcy będą uciekali do Ameryki. Podkraśli się pode drzwi.

– Więc nie pojedziesz? – pytał z gniewem Czeczewicyn. – Mów, nie pojedziesz?

– Boże – szlochał cicho Włodek. – Jakże pojedę? Żal mi mamy.

– Bladolicy bracie mój, proszę cię, jedźmy! Zapewniałeś mnie przecież, że pojedziesz, sam mnie namówiłeś, a jak przyszło do jazdy – toś stchórzył.

– Ja... ja nie stchórzyłem, ale mnie... żal mamy.

– Powiedz, pojedziesz czy nie?

– Pojadę, tylko... zaczekaj. Chce mi się pobyć w domu.

– W takim razie jadę sam! – zdecydował Czeczewicyn. – I bez ciebie się obejdę. A jeszcze chciałeś walczyć, polować na tygrysy. Jeżeli tak, to daj mi moje kapiszony!

Włodek zapłakał tak gorzko, że siostry nie wytrzymały i również cicho zapłakały. Nastąpiło milczenie.

– Więc nie pojedziesz? – spytał jeszcze raz Czeczewicyn.

– Po... pojedę.

– To ubieraj się.

I Czeczewicyn, żeby zachęcić Włodka, wychwalał Amerykę, ryczał jak tygrys, naśladował parostatek, kłął, obiecywał oddać Włodkowi całą kość słoniową i wszystkie skóry lwie i tygrysie.

I ten chudy, śmiały chłopak o szczeciniastych włosach i piegowatej twarzy wydał się dziewczynkom czymś osobliwym i niezwykłym. To był bohater, stanowczy, nieustraszony człowiek, a ryczał tak, że gdy stało się za drzwiami, można było rzeczywiście pomyśleć, że to tygrys albo lew.

Kiedy dziewczynki wróciły do swego pokoju i zaczęły się ubierać, Katia z oczami pełnymi łez powiedziała:

– Ach, jak ja się boję!

Aż do drugiej godziny, to jest do obiadu, wszystko było spokojnie, ale podczas obiadu spostrzeżono nagle, że chłopców nie ma w domu. Posłano do czeladnej, do stajni, do oficyny rządcy – nigdzie ich nie było. Posłano na wieś, lecz i tam ich nie znaleziono. Herbatę też pito bez chłopców, a kiedy siadano do kolacji, mamusia niepokoiła się bardzo, a nawet płakała. W nocy znów urządzono wyprawę na wieś, szukano nad rzeką z latarniami. Boże drogi, jakie się zrobiło zamieszanie!

Na drugi dzień przyjechał strażnik, pisano w jadalni jakiś papier. Mama płakała.

Lecz oto przed gankiem zatrzymały się sanie, a z trójki białych koni buchała para.

– Włodek przyjechał! – krzyknął ktoś na dworze.

– Włodeczek przyjechał! – zaczęła piszczeć Natalia, wpadając do stołowego.

Milord zaszczekał basem – hau! hau! Okazało się, że chłopców zatrzymano w mieście przy kramach miejskich (chodzili tam i rozpytywali, gdzie można dostać prochu). Włodek, gdy tylko wszedł do przedpokoju, zaszlochał i rzucił się na szyję matce. Dziewczynki z dreszczem przerażenia myślały o tym, co teraz będzie; słyszały, jak ojciec zaprowadził Włodzia i Czeczewicyna do swego gabinetu i długo rozmawiał z nimi; mamusia też mówiła i płakała.

– Czy to tak wolno? – upominał ojciec. – Dowiedzą się, nie daj Boże, w gimnazjum i wyrzucą was. Wstyd, panie Czeczewicyn! Nieładnie! To pan wymyślił, spodziewam się też, że rodzice ukarzą pana. Czy tak się robi? Gdzieście nocowali?

– Na dworcu! – odpowiedział z dumą Czeczewicyn.

Włodek potem leżał w łóżku i przykładano mu do głowy ręcznik, zmoczony w occie. Posłano gdzieś telegram, a następnego dnia przyjechała matka Czeczewicyna i zabrała swego syna.

Kiedy odjeżdżał, miał twarz surową, wyniosłą i zegnając się z dziewczynkami, nie rzekł ani słowa; wziął tylko zeszyt od Katii i napisał na pamiętkę:

„Montigomo Szpon Jastrzębi”.

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl